CZADEK

kwiecień 2017

Słowo od redakcji

Maria Łomiak

Załamałam się, kiedy rankiem 18 kwietnia wyjrzałam przez okno. Na zewnątrz padał śnieg, a termometr wskazywał nieprzyzwoicie niską jak na tę porę roku temperaturę. Przenikający do szpiku kości wiatr potęgował odczucie zimna. Kwiecień plecień mówią… Przysłowie przysłowiem, ale mamy przecież prawie maj. Marcowa wiosna jak szybko się pojawiła, tak zniknęła. Brrrr…

Niezbyt pojmując wszystkie meteorologiczne procesy, żyłam w przekonaniu, że zmiany klimatu spowodowane przez globalne ocieplenie, pomimo swoich niekorzystnych skutków, oznaczają więcej ciepła dla wszystkich zmarzluchów na Ziemi. A to, jak się okazuje, niekoniecznie tak właśnie funkcjonuje.

Jesteśmy bowiem świadkami pogodowej anomalii. A to wszystko nie tylko za sprawą czynników zewnętrznych, ale głównie działalności człowieka i jego zbytecznej ingerencji w naturę.
Ona właśnie będzie głównym tematem tego wydania "Czadka". Na dalszych stronach przeczytacie między innymi o trendzie na ratowanie środowiska, o ucieczce na łono natury, wreszcie też o miejscach, w których człowiek pogodził się z zielenią. Miłej lektury!

SPIS RZECZY

4 Wasze Nasze Stowarzyszenie
Tymoteusz Ogłaza

5 Uciec, ale dokąd?
Alicja Grzyb

6 Moda na zielony
Magda Gabrysiak

7 Słoneczniki
Olga Mazurek

9 Zielona architektura
Małgosia Witalis

11 Groch z kapustą
Hania Zonik

12 Axis Mundi [komiks]
Basia Szymiczek i Olga Mazurek

Nasze Wasze Stowarzyszenie

Tymoteusz Ogłaza (ekseksrednacz)

Czacki jest cudowny - wszyscy to wiemy. Co sprawia, że taki jest? Ludzie, to pewne. Jednak nie tylko oni. Gdyby tylko ludzie tworzyli Czackiego, jego fenomen nie odradzałby się w każdym nowym roczniku. Tu działa jakiś mechanizm niezależny od nowych charakterów wciąż i wciąż pojawiających się w szkole. Zaufajcie studentowi socjologii.

Dużo słyszycie na pewno o tym, że Czackiego się nigdy nie kończy. Ja i większość moich znajomych z liceum jesteśmy tego przykładami. Tutaj w szkole tworzy się więź niezależna od klasy, rocznika czy nawet bycia sekcyjnym. Szczególnie czuje się to na studiach. Wspólna baza doświadczeń, wspólne skojarzenia na słowa "festiwal" czy "wnęka". Bycie Czackiewiczem to nie tylko puste wyrażenie. Przed drugą klasą rozmawiałem kiedyś na wakacjach o Czackim. Gdy tylko padła ta nazwa, z leżaka obok podniósł się gość około trzydziestki i podniecony jak siedemnastolatek zaczął wypytywać o szkołę. Okazało się, że kończył ją ponad dekadę temu, ale nie skończył - po studiach pozostał Czackiewiczem. A skoro już opisałem, że rzeczywiście ta sympatia do Czackiego oraz całej społeczności pozostaje na długo... tym bardziej dziwi mnie, że Stowarzyszenie Wychowanków ma problem z naborem nowych członków.

Stowarzyszenie Wychowanków to, jak na pewno macie świadomość, stały element życia szkoły. Sam myślałem o tym, by się do niego zapisać już po otrzymaniu ostatniego świadectwa. Zrobiłem to jednak dopiero niedawno, za namową kolegi. Trafiłem akurat na zebranie, bardzo ważne zebranie. Okazało się bowiem, że świeży absolwenci nie chcą wstępować do Stowarzyszenia tak powszechnie, że temu grozi likwidacja. Byłoby z pewnością ze szkodą dla szczególnej atmosfery Czackiego, gdyby Stowarzyszenie Wychowanków zaprzestało działalności. Spytacie dlaczego? Odpowiedź jest we wstępie - nie tylko ludzie tworzą to środowisko. Powtarzane co roku wydarzenia, instytucje w stylu sekcji, gazetka, masa wspomnień indywidualnych, wiele innych rzeczy niezależnych w gruncie rzeczy od charakteru poszczególnych uczniów, a także m.in. Stowarzyszenie. Nasze Stowarzyszenie.

Na tym zebraniu, o którym wspomniałem, wybrano nowy Zarząd. Prezesem pozostał znany Wam z pewnością p. Dariusz Geller. Jednak aż 3/5 członków to absolwenci z krótkim stażem; dwoje uczniów 6B oraz jeden z 4A/D (bo dlaczego ograniczać się do jednej literki?). To pokazuje, jak staramy się walczyć ze szkodzącą opinią, że do Stowarzyszenia Wychowanków wstępują jedynie wychowankowie starszej daty. Pomyślcie, ile dobrego przyniosłyby Wam spotkania z absolwentami, którzy mogliby podzielić się z Wami dopiero co zdobytą wiedzą nt. kierunków, które wybrali. Przecież studiowanie nigdy nie wygląda dokładnie tak, jak sobie licealiści wyobrażają, a każdy kierunek ma swoją własną specyfikę. Jak pomogłoby w wyborze, gdybyście mogli do woli wypytywać ludzi stojących przed tym samym wyborem ledwie dwa, trzy lata wcześniej? Organizacja takich spotkań to jeden z pomysłów na nowe pola działalności naszego Stowarzyszenia.

Plany jednak można tworzyć, a do ich realizacji zawsze potrzebni są zaangażowani ludzie. Gdyby chociaż mała część z Was postanowiła za te dwa czy trzy lata zapisać się do Stowarzyszenia - ile nowych projektów można by zorganizować! Stowarzyszenie Wychowanków nie byłoby wyłącznie migającym gdzieś w tle uroczystości szkolnych logiem. Byłoby miejscem do podtrzymywania kontaktu ze szkołą, pomocą dla uczniów, okazją do zyskania doświadczenia dla absolwentów. Zachęcam więc do zastanowienia się, czy rola absolwentów, którymi będziecie szybciej, niż Wam się wydaje, musi ograniczać się do wspominania i podnoszenia się z leżaka, kiedy usłyszycie przy basenie, że ktoś powiedział "Czacki". Stowarzyszenie Wychowanków to również Wasze Stowarzyszenie, Wasz kapitał z bycia Czackiewiczem.

Uciec, ale dokąd?

Alicja Grzyb

Natura, naturalność, naturalizm – to pojęcia którymi, posługujemy się właściwie bezwiednie. Choć zdajemy sobie, oczywiście, sprawę z ich znaczenia, przeciętny mieszkaniec miasta nie ma na co dzień kontaktu z dziką przyrodą. Jest to cena jaką przychodzi nam zapłacić za udogodnienia współczesnego świata. Nieustający postęp technologiczny wydaje się być procesem, którego nie zdołamy już powstrzymać. Mimo to istnieją jednak pasjonaci, którzy na przekór wszystkiemu nie godzą się z takim stanem rzeczy, a jedyny kierunek rozwoju widzą w powrocie do naturalnego stylu życia. W ucieczce od cywilizacji.

Tarzan z Queensland

Historia Michaela Petera Fomenko mogłaby z pewnością posłużyć jako pierwowzór dla przygód literackiego „władcy małp". Mężczyzna przyszedł na świat w Gruzji w 1924 roku, lecz jako dziecko wyemigrował wraz z rodziną do Australii. Z powodu bariery językowej i kulturowej nie potrafił jednak przystosować się do nowego środowiska. Nie nawiązywał przyjaźni i izolował się od innych dzieci. Ostatecznie w wieku 24 lat postanowił całkowicie odciąć się od swojego dotychczasowego życia, zerwał kontakty z najbliższymi i zamieszkał w lesie deszczowym nieopodal Queensland.

Przez następnych kilkadziesiąt lat żył tam samotnie, bez dostępu do jakichkolwiek zdobyczy technologii. Żywił się upolowanymi ptakami i owocami – jedynie czasami wymieniał je w sklepie na inne produkty. Za schronienie wystarczał mu szałas, a za ubiór – przepaska na biodra. Na zachowanych fotografiach widać go czasami ukrytego wśród drzew – półnagi i rozczochrany przypominał dzikiego Aborygena.

Pełne niewygód i samotności życie „współczesnego Tarzana" nie okazało się bezpieczne. W ciągu kilkudziesięciu lat Fomenko wiele razy otarł się o śmierć. W 1959 roku od wygłodzenia ocaliła go jedynie pomoc mieszkańców Queensland. Mężczyzna bywał też pogryziony – przez jadowite pająki, węże, a nawet krokodyla. Władze Australii kilkanaście razy interweniowały w jego sprawie – oskarżony o demoralizację i agresję został zatrzymany a następnie zamknięty na kilka miesięcy w szpitalu psychiatrycznym. Po wyjściu na wolność powrócił jednak do dawnego stylu życia. Mieszkał w buszu aż do śmierci w 2006 roku. Nigdy nie zdecydował się wrócić do miasta.

Becoming a wild man

Koncepcja „życia zgodnie z naturą" ma swoich zwolenników także współcześnie. Jednym z nich jest na pewno Angelo Valkenborgh – holenderski biznesmen i propagator surwiwalu. Jak sam wielokrotnie przyznawał, sztuka przetrwania stanowiła jego zainteresowanie już od dzieciństwa. Swoje umiejętności i wiedzę ćwiczył wielokrotnie podczas krótkich wędrówek po szwedzkich i niemieckich lasach. W 2015 roku zdecydował się jednak posunąć się o krok dalej – porzucił prowadzoną dotychczas firmę i zamieszkał samotnie w lesie w pobliżu słoweńskiej granicy.

Wyposażony jedynie w podstawowe narzędzia, musiał zapewnić sobie przede wszystkim odpowiednie schronienie – własnoręcznie budowany szałas. Dodatkowym utrudnieniem pozostawała dla niego pogoda – podczas zimy temperatura spadała do prawie minus 20 stopni. Podstawę pożywienia mężczyzny stanowiły upolowane sarny, jelenie oraz leśne ptaki. Kilkukrotnie wchodził z tego powodu w konflikt z obrońcami przyrody.

Prowadzony przez Valkenborgha styl życia wydawał się kontrowersyjny także z innego powodu. Pomimo wcześniejszych zapewnień, Holender nie odciął się bowiem całkowicie od cywilizacji. Swoje „życie na łonie natury" dokumentował skrupulatnie, przez cały czas za pomocą mediów społecznościowych: Twittera i Instagrama, pod nazwą becomindwildman. Odwiedzający jego stronę mogli na bieżąco obserwować relacje z kolejnych polowań lub zapoznać się z praktycznymi radami odnośnie surwiwalu. Wszystkie wskazówki i instrukcje zostały następnie wydane także w formie poradnika - dlatego finansowy aspekt działalności Valkenborgha pozostaje wciąż kwestią kontrowersji. On sam w udzielanych wywiadach stanowczo odcinał się od jakichkolwiek oskarżeń o komercjalizację, twierdził, że jego jedyną motywacją pozostawała potrzeba kontaktu z przyrodą i chęć przygody.

Zew natury

Czy odrzucając wszelkie zdobycze techniki możemy naprawdę osiągnąć szczęście? Choć wymienione przykłady mogą wydawać się karykaturalne, dla sporej ilości miłośników i pasjonatów przyrody stały się inspiracją do zmiany dotychczasowego stylu życia. Dla wielu mieszkańców dużych miast „ucieczka od cywilizacji" pozostaje wciąż kuszącą wizją, niezwykłą przygodą na łonie natury. Warto jednak pamiętać, że jej skutki mogą odbiegać od naszych wyobrażeń. Ekstremalny surwiwal to przede wszystkim walka z codziennymi trudnościami, z których współcześnie rzadko zdajemy sobie sprawę.

Moda na zielony

Magda Gabrysiak

Po ostatnich działaniach aktualnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, opartych na idei, jakoby globalne ocieplenie było wymyślone przez Chińczyków (a biegun północny wynaleziony przez św. Mikołaja) ochronę środowiska można uznać za umarłą. Natomiast konferencja ONZ z 2015 roku w Paryżu w sprawie zmian klimatu, wydaje się być jedynie zdechłą złotą rybką.

Jest to bardzo negatywny, wręcz przerażający obraz, który poprzedza jeszcze bardziej przerażającą wizję przyszłości. Nie zmienia to jednak faktu, że chęć pomagania naszemu środowisku staje się coraz bardziej powszechna, a nawet modna.

Trend na wspieranie fauny oraz flory zauważalny jest już od paru lat. Jednak paradoksem tak wykreowanego stylu życia jest to, że jego zwolennicy pomagają głównie swojemu wizerunkowi. Wielu z nich żyje w przekonaniu, że oddając pojedynczą puszkę do recyklingu, ocalą jednego chorego delfina. Inni wierzą, że chronią setki króliczków, udostępniając o nich filmik stworzony przez pro zwierzęcą organizację. Taki rodzaj pomocy ani nie ratuje naszego środowiska, ani mu nie szkodzi. I tutaj zaczyna robić się ciekawie. Zadajmy sobie pytanie: kto mógłby zyskać na wciąż rosnącym popycie na produkty ekologiczne? Producenci, oczywiście, lecz oni nie palą się do pomocy środowisku. Widzą jedynie możliwość dużych zarobków.

Coraz częściej tworzą zatem reklamy, w których np. niedźwiedź polarny przytula nabywcę nowego energooszczędnego samochodu, dziękując mu za zakup, który „ratuje mu życie". Podobne strategie marketingowe, bawiąc się naszą chęcią ratowania środowiska, mają na celu zachęcenie nas do nabycia danego produktu. I właśnie w tych kampaniach reklamowych jest pies pogrzebany.

Z problemu zanieczyszczenia planety nie można się po prostu „wykupić", bo masowe zakupy są jego główną częścią. Prawdziwa pomoc nie współgra z konsumpcjonizmem, dlatego musimy się nauczyć dłuższego korzystania z wszelkiego rodzaju dóbr: od samochodów po komórki i ubrania.

Taki rodzaj pomocy nie zawsze nam odpowiada, dlatego też nie jest on modny. Jest to porównywalne do sytuacji, kiedy jako małe dzieci przepełnione entuzjazmem, pytaliśmy mamę, w czym możemy pomóc, a ona wściekła odpowiadała, że najbardziej pomożemy, nie przeszkadzając.

Ziemia jest tą właśnie wściekłą mamą, która stojąc na granicy załamania nerwowego, obmyśla sądowe alibi, na wypadek gdyby straciła kontrolę nad sobą.

Podsumowując, trzeba stwierdzić, że pomoc środowisku naprawdę nie jest trudna, ale wymaga wielu niemodnych wyrzeczeń oraz poświęcenia wygody życia codziennego. Wystarczy częściej jeździć rowerem zamiast samochodem, brać krótkie prysznice lub ograniczyć ilość lotów w roku. Może wtedy matka natura nie odda nas do adopcji.

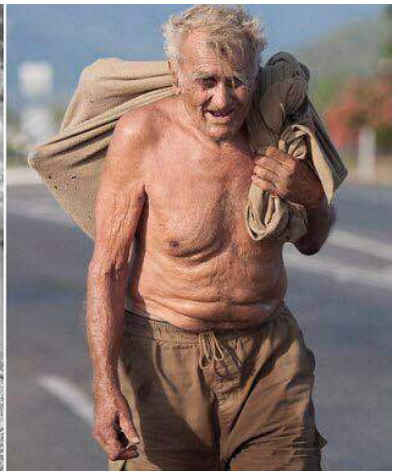

Fotografie do tekstu „Uciec, ale dokąd?"

– Dzień dobry – powitał mnie bardzo grzecznie, rozglądając się dookoła. Przerwałem podlewanie orchidei. Nie jestem głupi. Zielone badyle i wilgotne łodyżki interesowały go stanowczo za mocno. Ale spuściłem wzrok, odłożyłem konewkę, zdjąłem rękawiczki i dopiero wtedy spytałem:

– Słucham? Czy szuka pan czegoś konkretnego?

Mężczyzna podskoczył, odrywając się od drzewka pomarańczowego. Prawie je przy tym przewrócił, rzucając w moją stronę błagalne spojrzenie. Machnąłem ręką.

– Piszę dla strony internetowej „Kwiaty Polskie" – powiedział na wydechu. – Robimy ranking kwiaciarni warszawskich.

– Och – odparłem. A potem: – I moja kwiaciarnia.. Nigdy nie byłem w żadnych rankingach.

– A miał pan stronę internetową?

– Od zeszłego… no tak.

Kiwnął głową nerwowo. *Biedak*, pomyślałem. Był ździebko młodszy ode mnie, po studiach albo prawie, miał tani tablet pod pachą, wyciągnięty sweter i niewiarygodnie zmęczoną twarz. I czy on w ogóle znał się na kwiatach? Jako dziennikarz mógł się nauczyć tego po nocach, a chociaż praca w kwiaciarni zdecydowanie nie była rajem, przynajmniej dawała w nocy to, co się w niej należało: sen.

– Zresztą, wysłaliśmy panu e-mail. O wizycie – dodał.

– Nie dostałem go. – *albo leży gdzieś w spamie.*

Zacisnął usta i rozejrzał się.

– To szkoda. To ja nie wiem… Czy mogę teraz zacząć ocenę, czy mam przyjść kiedy indziej?

– Dobrze – odpowiedziałem. – Proszę teraz.

Byłem bardzo dumny z mojej kwiaciarni. To była piękna kwiaciarnia, czysta i niezbyt parna, na miłej ulicy na Mokotowie. Po ścianach pełzały pędy, w rogu wisiało zdjęcie gór. Moje kwiaty nie tylko wyglądały ładnie, były również żywe i trzymały się długo. Dbałem o nie bardzo. Mogliby przyjść i oceniać ją nawet w środku nocy – moja kwiaciarnia zawsze była tak samo udana.

Gość krzątał się i uwijał między doniczkami. Zaglądał po liście, oglądał łodyżki, wąchał wodę, w której stały róże. Po dłuższej chwili stracił trochę ze swojej niezręczności i zaczął wyglądać niemal profesjonalnie. Wziąłem konewkę i wróciłem do przerwanego podlewania.

– Pracuje pan z roślinami? – spytałem go po pewnym czasie, coraz bardziej zdziwiony.

– Nie… Ale mój dziadek miał duży ogródek. Pomagałem mu. Dawniej. – otarł czoło i rzucił mi śpiące spojrzenie.

Nalałem mu szklankę wody.

– Dziękuję – powiedział niezręcznie. – No i uczyłem się też trochę o kwiatach. Czytałem magazyny. Lubię kwiaty, szczerze mówiąc. Ale ogólnie jestem dziennikarzem – wrócił do pracy. – Wie pan, to wszystko tak nieprofesjonalnie wygląda, ale ten portal jest bardzo duży i ludzie go czytają. I jeśli dobrze wypadnie kwiaciarnia w rankingu, to klientów panu raczej nie ubędzie.

– Wiem – powiedziałem.

– No. Ale nie ma strachu. Pański sklep jest bardzo dobry, szczerze – dodał niepewnie. – Bardzo dobry. Przyjemny. Kwiaty są świeże i wszędzie jest czysto. I ceny – wie pan, ma pan dobre ceny.

– Dziękuję.

– Tak – westchnął. Podszedł do lady i wziął jeszcze jeden łyk ze szklanki, a potem spojrzał na orchidee, które podlewałem.

– Jeszcze nigdy takich nie widziałem – rzekł, mrugając. – Niesamowite!

– Rzadki gatunek – powiedziałem spokojnie. – Trudny w utrzymaniu, ale bardzo piękny. Pochodzą z Indii.

– Tak, w Indiach jest dużo pięknych kwiatów – zaśmiał się, nagle dużo weselszy. Widząc to, aż odłożyłem konewkę i spytałem uprzejmie:

– Był pan w Indiach?

– Przez chwilę, jeszcze na studiach. – spojrzał na mnie, ośmielony milczeniem. – Miałem na kampusie kolegę z Indii i zaprosił mnie do siebie na dwa tygodnie. No i tak… Dużo tam biedy, wie pan, mnóstwo żebraków. Ale ci ludzie, ta masa kolorowych ludzi! I natura. Naprawdę. Nigdzie… nigdzie takiej nie widziałem, ani u nas, ani nigdzie w Europie czy w Turcji, w Meksyku, Kanadzie… nawet w Australii. To już inna natura, wiadomo. Nie taka dzika. Nie taka żywa. Także, jeśli byś się… jeśli pan by się namyślał, czy nie polecieć na wakacje, to polecam.

On tak sobie opowiadał, a ja widziałem to wszystko, kiedy rozglądałem się dookoła. Widziałem egzotyczne pnącza i kwiaty splecione w symbiozie, czułem dziwne wonie i hodowałem niepokorne pędy. Tutaj była moja cała Kanada i Australia, całe Indie i Meksyk. Pomyślałem sobie, że umiem i mogę w moim małym lokaliku utrzymać rośliny z każdego zakątka świata, a to już coś.

– Pan był tam wszędzie? – zapytałem.

– Tak – powiedział, podciągając gorączkowo rękawy. Chyba chciał się zrewanżować, więc zapytał: – A pan? Był pan gdzieś? W jakimś ładnym miejscu, z taką ładną naturą?

– Nie, prawdę mówiąc nie byłem nigdzie za granicą – odparłem. – Jakoś tak wyszło.

Ale czytam atlasy i książki, chciałem powiedzieć. Oglądam zdjęcia i filmy. Codziennie. Co roku. Ale gość tylko zmarszczył brwi i uśmiechnął się z niedowierzaniem. – A chciałby pan?

– Jasne, że bym chciał – odparłem. Patrzył na mnie, wciąż nie mogąc pojąć, jak można nigdy – *nigdy!* w życiu nie wyjechać z kraju. Chyba nie sądził, że tacy ludzie w Warszawie istnieją. To mnie zirytowało, więc chwyciłem ścierkę i przetarłem blat.

– Ma pan na ścianie wyżynę tybetańską – zauważył. – Na zdjęciu.

To mnie zirytowało jeszcze bardziej i nie odpowiedziałem. Skinął głową i wycofał się w głąb sklepu. Poszedłem chwilę na zaplecze, umyłem ręce i wróciłem. I wtedy naszło mnie natchnienie – przypomniałem sobie, że ostatnio dostarczono mi porcję cudownych słoneczników, wielkich i żółtych jak marzenie. Kochałem słoneczniki. To były moje ulubione kwiaty, na miłość boską i na ich cześć nazwałem moją kwiaciarnię ,,Pod słonecznikami”. I kto mi zarzuci, że nie byłem za granicą? Słoneczniki rosły dziko w Polsce równie dobrze, jak gdzie indziej. A u mnie rosły najlepiej.

– Chciałbym panu pokazać moje słoneczniki – oświadczyłem głośno, wychodząc zza lady. – Ładniejszych nie dostanie pan w całej Warszawie.

– Mam tak napisać? – spytał przekornie, ten biedny studencik z krzywym i pełnym nadziei uśmiechem na szarawej twarzy.

– Proszę bardzo.

Kwiaty zwrócone były do mnie tyłem, a przodem do szyby, żeby wszyscy z ulicy mogli podziwiać, jakie są piękne, jakie triumfalnie żółte, żeby wchodzili do mojej kwiaciarni i żeby sprawiali, żebym miał za co płacić rachunki. Obróciłem wazon przodem, delikatnie chwyciłem słoneczniki za łodygi… ale to nic nie dało. Ich korony okazały się suche i martwe.

– Nie wiem, jak to możliwe – pocieszał mnie gość. – Z zewnątrz wyglądały absolutnie normalnie. Zresztą, to nie ma większego znaczenia… Kwiaciarnia jest tak dobra, tak miła, że i tak zajmie wysokie miejsce w tym rankingu. Ja nawet o tych słonecznikach w recenzji nie wspomnę. Mówię serio.

Ale to nie pocieszało mnie w ogóle.

Zielona architektura

Małgosia Witalis

Z roku na rok hasło „ekologia" staje się coraz bardziej popularne, pomimo tego, że używamy go w innym kontekście mającym bardziej związek z ochroną środowiska. Z racji tego na świecie powstaje coraz więcej miejsc przyjaznych środowisku, czy wykorzystującym jego atuty bez dewastacji. Nowe inwestycje szczycą się zielonym patio, w którym mieszkaniec dużego miasta może na chwilę zapomnieć o szybkim tempie życia, a później przesiąść się na rower z pobliskiej stacji Veturilo i dojechać do metra. To jedne z ciekawszych przykładów przyjaznych środowisku rozwiązań.

1. Earth House Estate Lättenstrasse

System mieszkalny zaprojektowany przez Petera Vetscha znajduje się w Szwajcarii. W jego skład wchodzi dziewięć domów ustawionych na około jeziorka. Mieszkania zostały przysypane grubą warstwą ziemi, dlatego ich dachy mogą służyć za ogrody a wnętrza są jednocześnie izolowane przed wiatrem czy deszczem.

2. Dragspelhuset

Dom znajdujący się w Szwecji wybudowano w rezerwacie przyrody, ze względu na chęć właścicieli, co do mieszkania nad jeziorem. Projekt nie tylko współgra się w leśne otoczenie, ale również wygląda jak jego część. Ciekawym rozwiązaniem wykorzystanym w tej konstrukcji jest rozsuwanie się budowli w zależności od poru roku. Konstrukcja przypominająca żółwia zsuwa się, aby łatwiej było go ogrzać, a w lecie znowu wrac do pełnego rozmiaru, umożliwiając widok na jezioro.

3. Domy w drzewach

Coraz bardziej popularna forma wypoczynku dla tych, którzy chcą spędzić wakacje w naturalnym otoczeniu bez konieczności spania w namiocie. Wyobraźnie architektów nie zna granic, przez co domy mają wiele różnych form- od tych przypominających bardziej luksusowe domki z dzieciństwa po kule zawieszone kilka metrów nad ziemią.

4. Bosco verticale

Dwie wieże znajdujące się w Mediolanie wyglądają jak z postapokaliptycznej wizji, gdzie dawno już nieużywane budynki opanowuje natura. Na dwóch wieżach (111 i 76 metrów) znajduje się około 900 drzew, przez co nazwa (Pionowy las) ma rację bytu.

5. Miasto - las

Stefano Boeri, twórca projektu *Bosco Verticale* stworzył również rozwiązanie stawiające czoła chińskiemu zanieczyszczeniu w miastach. Miasto -las będzie w całości składało się z budynków pokrytych drzewami. Projekt ma być gotowy w 2020 roku i zapoczątkuje serię budowy tego typu miast.

Te budowle to tylko kilka przykładów. Miejmy nadzieję, że architektura będzie rozwijać się właśnie w tenzielony sposób i zamiast wycinać drzewa będzie sprzyjać sadzeniu ich.

Hania Zonik

- W lewej kolumnie na dole proszę wpisać imię i nazwisko.

Imię i nazwisko. Już prawie zapomniała, że kiedykolwiek je miała. Oczywiście, nie zapomniała zupełnie, bo pewnych rzeczy zapomnieć nie można. Imię i nazwisko to właśnie jedne z rzeczy niezapominalnych. Lecz gdy wypełniała we wskazanym miejscu urzędowy druczek, poczuła, że te kilka sylab dawno oddzieliło się od swojego znaczenia, że nie należało do niej. Bo co to za imię, którego nikt nie wymawia? Wiadomo, że nie zawsze tak było. W młodości matka, brat i przyjaciółki wołali na nią we wszystkich przypadkach, zdrobnieniach, zgrubieniach. Potem kiedy na chwilę zakochała się w jednym chłopcu, to już nie tylko ludzie, ale i kwiaty, i drzewa, wszystko do niej wołało. Rzecz jasna, on wymawiał jej imię najładniej i gotowa była słuchać wyłącznie jego, a że przy okazji wtórował mu cichutko cały świat?

Głupoty. Dziwnym jednak trafem, z biegiem czasu takie głupoty stawał się jej najmilsze. I choć sama przed sobą by się nie przyznała, dużo chętniej do nich wracała myślami niż do dnia ślubu lub narodzin dziecka. Tamte były zbyt wielkimi wydarzeniami, by je sobie tak po prostu przypominać .

A na przykład dzień, kiedy córka kupiła jej słoneczniki. To był piękny dzień, mimo że nic wielkiego się wtedy nie stało. Ot, dziewczyna weszła i wręczyła matce doniczkę.

Wtedy jeszcze codziennie była Mamą, teraz stawała się nią jedynie kilka razy w roku. Zresztą z upływem lat coraz dłużej trwał proces przeobrażania się. Musiała wyjść z roli pacjentki, sąsiadki, pani w sklepie i przypomnieć sobie, jak to jest być czyjąś matką. Zakładała odpowiednią spódnicę, starannie myła i czesała włosy, gotowała, sprzątała i przestawiała meble, by mieszkanie wyglądało jak kiedyś. By dzieci czuły, że są u siebie, że nic się nie zmieniło. Nie lubiła, gdy pytali, co tam u niej słychać. Nie, nie, pytania jej nie przeszkadzały - były przecież wyrazem troski - to odpowiedzi, które padały z jej ust krępowały ją. Czuła się mała i niepasująca. Bardzo stara.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy zaczęła być Mamą, przestała być Anką. Nie to, żeby jakoś szczególnie się wtedy nad tym zastanawiała, zbyt zajęta była wypełnianiem swoich codziennych obowiązków, by zastanawiać się nad sobą. Ale wraz z pojawieniem się bliźniąt ubywało koleżanek i znajomych, a mąż przyjął jakąś dziwną zasadę bezosobowego zwracania się do niej, czasami tylko używając pięknego zaimka *ty*.

Siedząc na ulubionej ławeczce, patrzyła na kwitnące kasztanowce. Białe kwiatostany przypominały sterczące świece z nierównomiernymi grudkami wosku. Była wiosna, a ona wstała i zrobiwszy kilka drobnych kroczków, stanęła pod rozłożystym drzewem i zadarła głowę. *Ania* szepnęła *mam na imię Ania.* A potem odwróciła się i ruszyła w kierunku domu, zanim zrobiłoby jej się wstyd.

AXIS MUNDI

BASIA SZYMICZEK
FT. OLGA MAZUREK

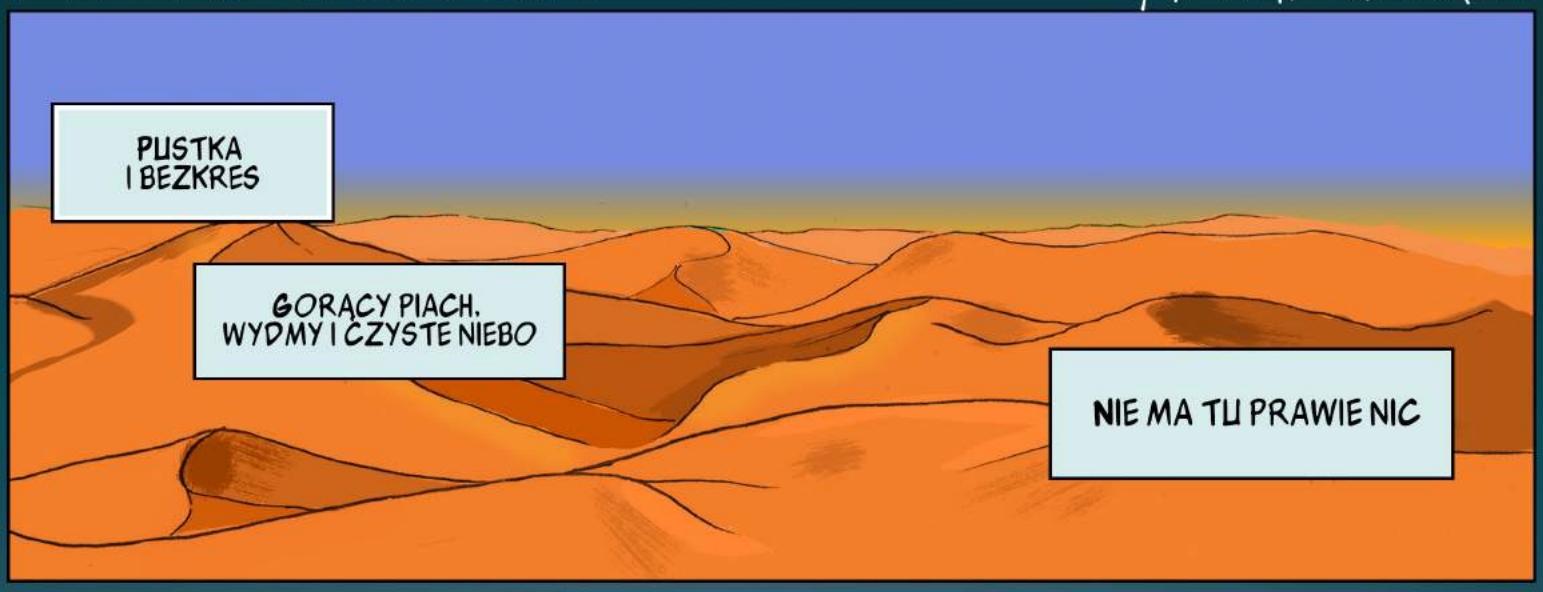

DRZEWO JEST TAK STARE, ŻE JEGO WIEKU NIE DA SIĘ LICZYĆ W STULECIACH
DAJE SCHRONIENIE I ZAPEWNIA ŻYCIE WIELU ISTOTOM
MIESZKAM W NIM OD ZAWSZE. JESTEM JEGO STRAŻNICZKĄ.
ZNAM KAŻDĄ GAŁĄŹ, KAŻDĄ DZIUPLĘ, KAŻDY LIŚĆ
NIC NIE ZDOŁA WYRWAĆ JEGO KORZENI. PNIA NIE PRZEWRÓCI ŻADEN WICHER. KORONA WSPIERA NIEBOSKŁON.
JESTEŚMY TU BEZPIECZNI.
PO KAŻDYM DNIU NADCHODZI JEDNAK NOC.
NICZEGO NIE BOJĘ SIĘ TAK BARDZO, JAK JEJ.

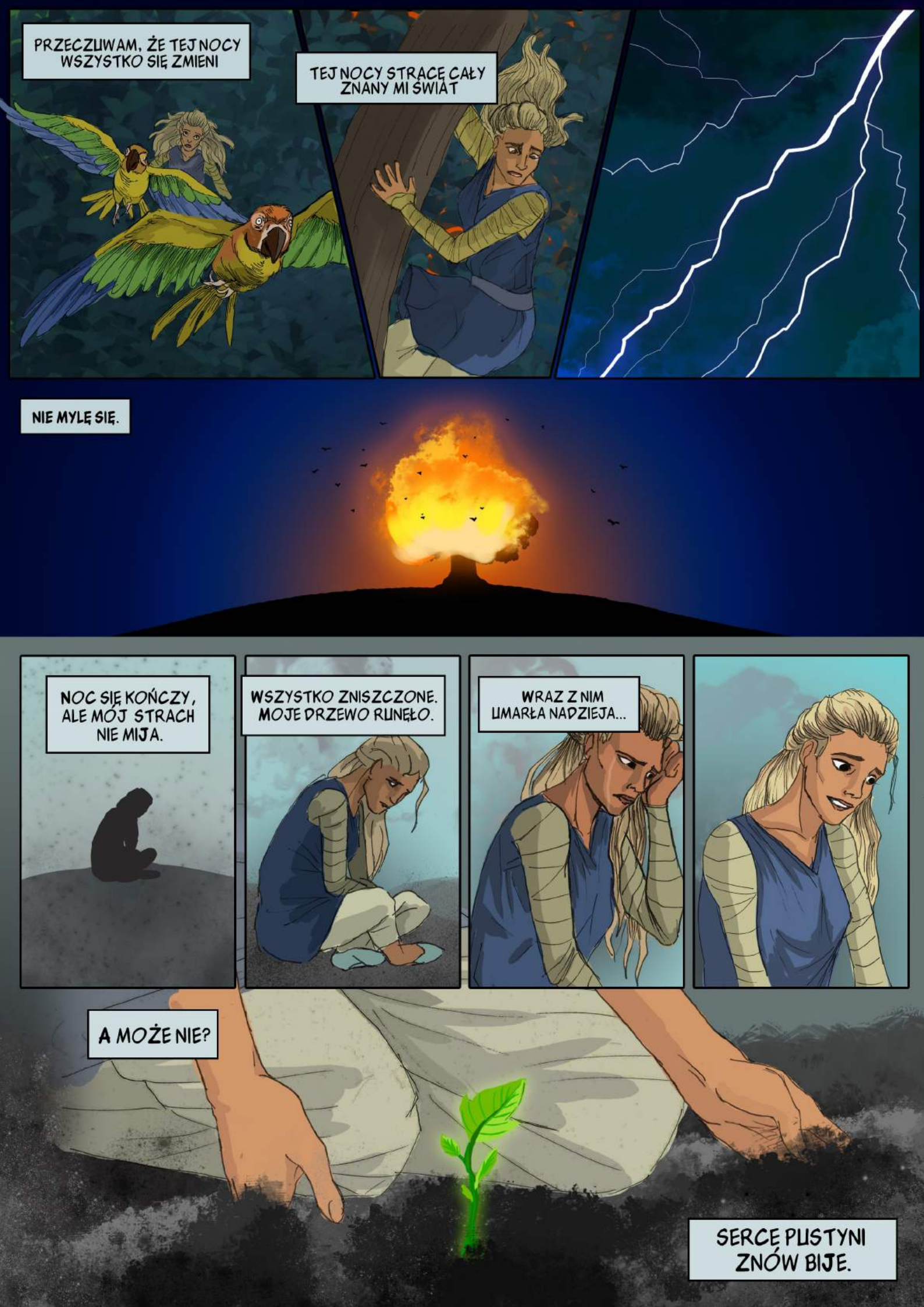
PRZECZUWAM, ŻE TEJ NOCY WSZYSTKO SIĘ ZMIENI
TEJ NOCY STRACĘ CAŁY ZNANY MI ŚWIAT
NIE MYLĘ SIĘ.
NOC SIĘ KOŃCZY, ALE MÓJ STRACH NIE MIJA.
WSZYSTKO ZNISZCZONE. MOJE DRZEWO RUNĘŁO.
WRAZ Z NIM UMARŁA NADZIEJA...
A MOŻE NIE?
SERCE PUSTYNI ZNÓW BIJE.

REDAKTORKA NACZELNA

Maria Łomiak

REDAKTORZY

Tymoteusz Ogłaza
Olga Mazurek
Alicja Grzyb
Magda Gabrysiak
Małgosia Witalis
Hania Zonik

SKŁAD

Zuzia Berus

KOREKTA

Hania Zonik

KOMIKS

Basia Szymiczek
Olga Mazurek

PROJEKT I REALIZACJA OKŁADKI

Monika Popkiewicz

GRAFIKA

Zasoby prywatne
Głębia Internetu

Koszt egzemplarza:

2zł

Wspierają nas:

FUNDACJAAVE.PL
Organizacja pożytku publicznego

Rada Rodziców
XXVII LO
im. Tadeusza
Czackiego

Poprzednie i aktualne wydania:

www.czacki.edu.pl/uczniowie/czadek

Nasz mail:

czadek.redakcja@gmail.com

Środki ze sprzedaży poprzedniego numeru zostały przekazane fundacji DKMS.

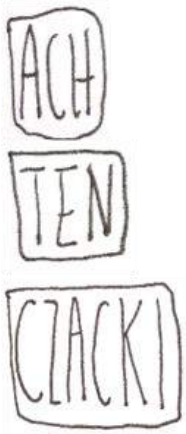

Znajdź nas na fb!

Czadek

XXVII Liceum im. T. Czackiego
ul. Polna 5 00-625 Warszawa